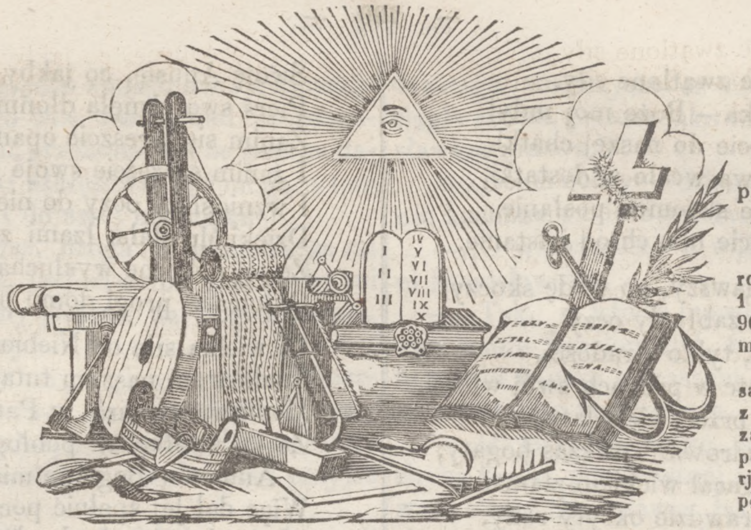
№ 37.

Warszawa

Dnia 2 (14) Września 1856.

Niedziela

18ta PO ŚWIĄTKACH.



KANTOR GŁÓWNY

W DRUKARNI J. UNGER przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80. półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (S. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Twoja nas łaska, prosimy Panie! niech uprzedza i towarzyszy, a do uczynków dobrych niech nas nieustannie wzbudza. (Modlitwa kościelna na niedzielę 18 po Świątkach.)

Wiejska dziewczyna.

W bardzo ubogiéj, pochyłéj chatce,
Mieszkała sama przy choréj matce
Anusia młoda, dziewczę cnotliwe,
Ciche, pobożne a nieleniwe.
Zaledwie słonko dzionek zabieli,
Wnet się Aneczka zrywa z pościeli,
Do Boga szczere modlitwy wznosi,
O zdrowie choréj matki swéj prosi;
O powrót ojca, co z woli Boga,
Poszedł z innymi naprzeciw wroga;
A choć już dawno minęły boje,
On jeszcze w progi nie wrócił swoje.

Potem spożyje kawałek chleba,
On doda siły ile potrzeba
Do ciężkiéj pracy — znojnego żniwa,
Bo ciężką praca podobna bywa.
I tak pracuje cały dzień Boży,
Aż się doczeka wieczornéj zorzy,
I choć po pracy — jednak wesoła,
Powraca wtedy do swego sioła,
Drobny zarobek niesie do chatki,
Na leki dla swéj schorzałéj matki; —
Choć pracowała dzień cały szczerze,
Suchy chléb tylko ma na wieczerzę.

Pewnego święta, — było to z wiosny,
Dzień był pogodny, czysty, radosny;
Dziewczę chcąc miléj użyć swobody,
Poszło z dzbanuszkiem zbierać jagody.
Gdy dochodziła bliskiego lasku,
Patrzy, wlecze się dziadek po piasku;
A znać po trudzie, że szedł z daleka,
Kijem się wspierał, bo był kaleka
Na jednę nogę. Twarz ogorzała
Zryta bliznami, poznać dawała
Że to był wojak — że owe blizny
Poniósł w obronie swojéj ojczyzny.

Anusi oko łezką się zćmiło,
I serce silniéj w piersi zabiło
Na smutny widok tego biedaka;
Wspomniała, że ma ojca wojaka.
Więc wnet się zbliży, i do kaleki
„*Niech będzie Chrystus chwalon na wieki*"
Z czułością rzecze; — dziadku kochany!
Jesteście widzę trudem znękany,
Macie tu kromkę chleba, tymczasem
Przyniosę wody z źródła pod lasem,

To pokrzepicie zwątlone siły,
Dziś taka spieka— Boże mój miły!
Potém pójdziecie do naszéj chatki,
Choć nie opływa wcale w dostatki,
Ale znajdziecie skromne posłanie,
To wypoczniecie nim chłód nastanie.

To powiedziawszy, po wodę skoczy;
Wojaka łzami zabłysły oczy,
Ale nie z bólu, tylko z radości,
Że znalazł litość w progach swéj włości,
Którą opuścił przed wielą laty,
W młodość i zdrowie wówczas bogaty;
Dziś do niéj wracał wiekiem złamany,
Chlubnemi wprawdzie okryty rany,
Ale bez grosza, za całe mienie
Kilka łachmanów — czyste sumienie....
A przytem w sercu boleść wraz z trwogą,
Czy znajdzie jeszcze chatkę ubogą,
W któréj swą żonę z dzieckiem zostawił,
W któréj mu Stwórca tak błogosławił?
Więc podniósł oczy z prośbą w niebiosy,
A łzy z nich płyną jak krople rosy.

A wtém Anusia wraca zdyszana,
Zdaleka słychać głosik jéj miły:
„Przyniosłam wodę, pokrzepcie siły.“
—„Niech ci Bóg płaci, córko kochana!...“
Starzec odrzecze, —„niech w twéj starości
Ześle ci stokroć tyle radości,
Ile mi sprawia ta dobroć twoja....
Ale — czy taką Anusia moja?...

„Co chcecie ojcze!... że mnie wołacie,
Skąd, obcy tutaj, imię me znacie?...“
„To ci Anusia?..“ starzec zawoła, —
I ty tu z tego pochodzisz sioła?...
A jakże matka twoja się zowie?...!“
„Agnieszka Grałek“ —dziewczę odpowie.
„Agnieszka, mówisz, dzieweczko droga?
To moja żona.... powiedz dla Boga....
Więc się nie mylę.... Boże mój, Boże!...
Czy człowiek szczęścia tyle znieść może....
Tyś moją córką!.. pójdź w me ramiona,
Niech cię do mego przycisnę łona,
Dziecię kochane! — a twoja matka,
Wszak jeszcze żyje?... a stara chatka,
W któréj mnie tobą Pan Bóg obdarzył,
W którejem tyle lat gospodarzył?...
Zacni sąsiedzi czy żyją jeszcze?...
Pójdź moja córko! niech cię popieszczę.“

I stary wojak łzami zalany,
Sciskał w objęciach skarb ukochany
Swoję Anusię, co jakby niema,
Pierś swą cisnęła dłońmi obiema,
Zanim się wreszcie opamiętała,
I zanim szczęście swoje poznała.
I wzniósłszy oczy do niebios Pana,
Dzięki Mu słała, łzami zalana:
Że jéj pokorne wysłuchał modły,
Co ojca w progi domu przywiodły.

O! wielka siła od Niebios Pana
Modlitwom naszym tutaj jest dana.
Modlitwa z wiarą w Panu, to sprawi,
Że jéj wysłucha, pobłogosławi.
Anusia w Bogu że miała wiarę,
Więc dał jéj spełnić pociechy czarę,
Wszystko jéj odtąd szło na pożytek,
Bóg szczęścił pracę, mnożył dobytek.

Dwóch majstrów krawieckich.

W małem czystem miasteczku, Augustowie, między wielą rozmaitéj wielkości i kształtu zabudowaniami, stał mały, schludny i cichutki domek. Starannie zamieciony próg, czysto wymyte drzwi, ozdobione u góry czarno malowanemi nożycami, odpowiadały najzupełniéj miłemu obliczu domeczka, i prowadziły do skromnego, z dwóch stancyjek i alkierzyka, złożonego mieszkanka.

W téj to ubogiéj siedzibie, mieszkał krawiec, nazwiskiem Stanisław Zaboklicki, obdarzony największym skarbem, bo szczerą chęcią do pracy i trojgiem pięknych jak aniołki dzieciaczków— otoczony najpewniéjszą strażą bezpieczeństwa, bo skrzętną pieczołowitością uczciwéj małżonki, i nieudawaną życzliwością otaczających mieszkanko, sąsiadów. Tak żył naz Stanisław bogobojnie i szczęśliwie. Wiosna tylko, ta najpiękniejsza królowa pór roku dla zamożnych, groziła mu niekiedy ciężkim przednowkiem. Podczas niéj bowiem wyczerpywać się zdają zasoby do życia, a ztąd wzrastająca drożyzna skłania ludzi, jeżeli nie w stolicy, to przynajmniéj po miasteczkach, do coraz większéj oszczędności w odzieży. Stąd też w téj porze roku biednym krawcom coraz to więcéj zbywa na zarobku, a jednak ciągle żyć trzeba.

W takiem właśnie położeniu znajdował się nasz pan Stanisław, i chwila obecna byłaby dlań najtrudniejszą do przeżycia, gdyby nie miał ufności w miłosierdziu Bożem, tej niczém nie-

złamanéj tarczy przeciw zwątpieniu i rozpaczy.

Radząc pewnego dnia z żoną nad możebnemi oszczędnościami, przekonał się, że jeszcze daléj bez obcéj łaski szczęśliwie żyć mogą, i tem rozweselony, rzekł do swéj małżonki:

—„Czy wierzysz, droga Magdaleno, że mi znowu jakoś lepiéj, lżéj na sercu, tak, jakby mi coś mówiło, że my jeszcze, da Bóg doczekać, niezgorzéj staniemy.

—„Ej co ci się tam po głowie roi?— Odparła pani Stanisławowa; dziękuj Bogu, że buty całe—że jest co włożyć do garka, bo wreszcie kto przy twojéj rzetelności do dobytku przyjść może?

—„A któż myślisz dochodzi do majątku, jeśli nie rzetelni? Czyż to nie mówił nam zawsze nieboszczyk, Panie świeć nad jego duszą, twój rodzic, że krzywda ludzka bokiem wychodzi. A że dziś nie mam wiele, to też człek i młody, doczeka się lepszych czasów, to tam może co i zbierze dla naszych ptaszków. Ale, ale zagawędziłaś mi się, a nie słyszysz, że dziecko płacze, porusz go tam, zakołysz.

W téjże chwili pani Stanisławowa wzięła się spiesznie do uspokojenia dzieciny, i kołysząc ją, prowadziła daléj zaczętą pogadankę.

—„Mój Boże! Jednakże ten pan Bartłomiéj to nie głupi, nie w ciemię bity człowiek; a lubo i tobie nic zarzucić nie można, to przecież on zacząwszy rzemiosło razem z nami, chodzi gdzie! gdzie! przystojniéj ubrany; często się i zabawi, a Bartłomiejowa, to już wygląda, jak istna Burmistrzowa, lub inna Jaśnie pani; ledwie na mnie spojrzy, to też co za kapelusz na głowie, co za chustka na szyi, nie tak, jak to ja biedna nieboga! To też każdy jemu prędzej powierzy robotę niż....

—„Ej! co mi tam bajesz „nie wszystko złoto, co się świeci, odparł Stanisław.

Pani Stanisławowa miała szczególniejszy zwyczaj mitygowania smutku i zbytecznéj radości męża: gdy ten ubolewać zaczął nad jaką stratą, wlewała weń ufność w Bogu i nadzieję polepszenia losu;— przeciwnie zaś, gdy on zaczął cieszyć się zbytecznie wyobrażalném szczęściem, ona zaczęła go zasępiać nasuwającemi się uwagami i wątpliwościami.

Tak więc gdy pani Stanisławowa narzeka nad swoją dolą, i mimowoli zazdrości pani Bartłomiejowéj, przerywa im nagle rozmowę donośny głos pana Bartłomieja Wiercikowskiego, dawnego towarzysza w rzemiośle, w którem ciągle razem, jeszcze jako terminatorzy z Stanisławem pracowali.

—„Dzień dobry— dzień dobry! jak się macie kochany panie Stanisławie!

—„O wilku mowa, a wilk tuż, szepnęła pani Stanisławowa.

—„Tak, w istocie mówiliśmy tu właśnie o was, panie Bartłomieju! żona moja kładzie mi tu ciągle w uszy o waszém szczęściu, i zazdrości świetnego powodzenia.

—„O! jest też czego, odrzekł Bartłomiej, chyba biedy, prześwietnéj biedy i nic więcéj. Ale wam Panie Stanisławie jakże tam idzie, bośmy się już dawno, może z jaki miesiąc nie spotkali.

—„Tak, nieźle, jakoś to tam klepie się biedę i żyje, aby żyć, aby daléj — było odpowiedzią Stanisława.

—„Już to u was, to raj, to niebo istne, tu chleb drożeje i drożeje, tu mięsa ani dostań, robota coraz lichsza, ludzie nierzetelnie płacą, niedługo i na sól nie starczy, a wam zawsze dobrze, jakbyście chcieli żartować z siebie i z nas wszystkich biednych rzemieślników.

—„Komu tam żarty w głowie, odparł Stanisław. Lecz z drugiéj strony, czegóż tak strasznie narzekać, kiedy jeszcze z łaski Boga nie zimno w pięty, głód nie trapi, a ręce zapracować mogą,? aże tam czasu nie starczy na piwo lub wódkę, to i nie szkodzi, bo wszak mówią“ *Od wódki często smutki, od piwa głowa się kiwa — a od wody człek zdrów i młody*. Zresztą od zbytniego użycia wody nikt pewno głodu nie cierpiał, a wódka nie dziesięciu, nie stu, ale tysiące i miliony doprowadziła do nędzy i żebraczki. A zresztą nadzieja w Bogu, dziś źle, jutro może być lepiéj.

—„Powiédz przyjacielu: dziś źle, jutro gorzéj. Ale co tam mamy się spierać? przystąpmy lepiéj do rzeczy. Posłuchaj-no tylko. Jakiegoś bogatego jak bankocetel szlachcica z dwunastoletnim synem, tak oporządzili w drodze złodzieje z pobliskiego lasu, że tylko przy szlafroku pozostał. Zajechawszy więc do hotelu, posłał czémprędzéj do najbliższego krawca, to jest do mnie; a że, jak wiész, nie obfituję w czeladź, nie mógłbym tém samém wygotować na czas żądanych dla niego i syna paltotów, tużurka, płaszcza i kamizelki. Powiedziałem mu więc, że znam tu jeszcze drugiego krawca, to jest was, i wespół podzielimy się robotą.

—„I owszem, owszem; właśnie też w téj chwili kończę surdut panu burmistrzowi; odrzekł spiesznie Stanisław.

—„ Ale notabene, ceregiele na bok, obetniemy starego kutwę, by nam się choć na kamizelki okroiło.

—„Co też wam się marzy, panie Bartłomieju? chcecież by pomyślał, żeśmy w spółce z tymi tam w lesie?

—„Ej, niech sobie tam myśli, co chce—targuje się jak żyd z biednym rzemieślnikiem, a ja za moję krwawą pracę nie mam jeszcze cośkolwiek zarobić?

—„Nie przeczę, na zarobek pracujemy, lecz czyż jemu za własny grosz niewolno się potargować. Gdy przeciwnie nam o kra.....

—„Nie nudź mię tam Waść swemi morałami, dodaj mu jeszcze, jeśli wola, a ja swoje zrobię— przerwał pan Bartłomiéj, biorąc za kapelusz, i prowadząc za sobą uczciwego Stanisława wprost ku zajazdowi, gdzie się był schronił wzmiankowany podróżny szlachcic.

Nie będę opowiadał rozmowy dwóch rzemieślników naszych, przy braniu miary z mniemanego szlachcica; to tylko dodam, że pan Bartłomiéj był bez porównania wymowniejszym, a jako pierwéj wezwany i pokaźniejszy, wziął na siebie oporządzenie ojca, a Stanisław syna, nie wielkiego umundurowanego wyrostka.

Po skończonéj przez obu robocie, pan Bartłomiéj ciesząc się zgrabną, gotową kamizelką, z dużego podróżnego okrojoną płaszcza, postanowił, jak to mówią, pokropić szczęśliwe zdarzenie, w uprzywilejowanym swoim szyneczku za miastem, gdzie też pospieszył niezwłocznie. Stanisław zaś pomodliwszy się przy ołtarzu Najświętszéj Panny szkaplerznéj, za niespodziewany zarobek, jak niemniéj za to, że mu udało się zgrabniéj i piękniéj, niż zwykle ukończyć robotę; prosił Boga o udzielenie mu sił, do dalszego gorliwszego jeszcze zajęcia się pracą.

Przyszedłszy do domu, zajął się pilnie naprawą, przyniesionego mu przed chwilą paltota, pana rejenta.

Jeszcze nie skończył wspomnionéj roboty, wtem słyszy jakiś niepewny chód, a następnie szybko otwierającego drzwi stancyi Bartłomieja, z temi słowy na podchmielonych ustach:

—„No i cóż, kochany kamracie! siedzisz, ślęczysz nad robotą, jakby jaki profesor nad książką, lub ksiądz nad brewiarzem, ani cię zobaczyć na świecie; ot ze mnie bierz przykład, naśladuj mnie. Bo i cóż twoje życie warto? robisz i pracujesz, pracujesz i robisz, ani wiész, co hulanka, ani sobie wyobrażasz, jak milutko na pogadance z przyjaciołmi zabijają się nudy, jak czas prędko schodzi, a jeszcze przy dobrym, jak dziś, kieliszeczku. Ale!... co ja widzę? czyżby pan rejent zaprzestał dawać mi roboty, bo widzę jego długie ciemno-zielone palto, z temi kieszeniami, za które policzyłem sobie w dwójnasób wartości nowych, a dałem podszewkę od staréj salopy mojéj baby. Czyby się ten stary dusi-grosz miał spostrzedz? Ale co tam zaprzątać sobie i mącić głowę, kiedy kieszeń pełna.!

Domawiając tych wyrazów, uchwycił ręką za kieszeń, a spostrzegłszy, że w niéj nic nie ma, zaczął czémprędzéj pilnie szukać, i z bojaźliwém przerażeniem przekonał się, że reszta pieniędzy wyleciała przez dziurę od kieszeni, w którą, wychodząc z zabawy, niebacznie i po pijanemu włożył zarobione pieniądze.

Biedny człowiek otrzeźwiał odrazu, przypomniał sobie i niezapłacone komorne, i wierzyciela Lejbusia, któremu oddawna zaległ w wypłaceniu należnego procentu, i brak chleba na dni następne; słowem, to tak widoczne przed chwilą w obliczu jego uczucie zadowolnienia, zmieniło się w najprzykrzejszą, podniecaną jeszcze trunkiem, rozpacz.

Biedak uchwycił gwałtownie za czapkę, lecąc jak szalony dla odszukania zgubionych w błocie pieniędzy, i po raz pierwszy podobno przekonał się, że przysłowie: „dobry trunek na frasunek,“ nie zawsze jest tak prawdziwém, jakby to wielu serdecznych przyjaciół kieliszka mieć chciało.

W chwili gdy Stanisław napróżno stara się pocieszać swego rozpaczliwie uciekającego gościa, zjawia się inny, daleko mniéj spodziewany, a tym nowym gościem był ów mniemany szlachcic, człowiek słusznego wzrostu, nieco otyły, z krótko obciętą, już nieco szpakowatą czupryną.

Pozdrowiwszy grzecznym ukłonem panią Stanisławowę, podał przyjaźnie rękę mężowi, papatrzył na jego robotę, i po niejakim namyśle rzekł:

—„Nazywam się Alexander Królewiecki, i jestem najzamożniejszym majstrem męzkiego ubrania w Warszawie. Mimo to, do większego,

po mojéj myśli rozszerzenia zakładu, brak mi jeszcze kilku rzetelnych robotników; a że w tobie znalazłem uczciwego, i o ile mi się zdaje, zdolnego i pracowitego człowieka, radbym więc i sobie dogodzić, i tobie byt polepszyć. Jedź więc ze mną do Warszawy, a tam przy mojéj pomocy, a własnéj rzetelności i dobrych chęciach, dojdziesz do takiego jak ja, a może i większego majątku.

—„Ja też, mówił daléj, nie urodziłem się bogatym, lecz rodzice moi zostawili mi po sobie więcéj jak największy majątek, bo wpoili we mnie z dzieciństwa rzetelność i chęć do pracy. Z takim to majątkiem wszedłem do terminu, a podczas gdy inni moi towarzysze bawili się, pili i grali w karty lub w bilard, ja pracowałem, a oszczędzony grosz składałem do kassy oszczędności. Takim to sposobem zjednałem sobie i przychylność mojego pana i nie skończywszy jeszcze dwudziestu pięciu lat, zebrałem paręset talarów. Łaskawy Panie! świeć nad jego duszą, nieboszczyk majster mój, w nagrodę wiernéj, dwunastoletniéj pracy, dał mi darmo na dwa lata mieszkanie w swym domu na Podwalu. Mając więc dostateczną sumkę na założenie warsztatu, i darmo komorne, starałem się nie uronić jednego szeląga napróżno.

Tym sposobem powoli przychodziłem do coraz większéj zamożności, i dziś kupuję dobra na licytacyi po upadłym baronie.... gdzie na starość, gdy już braknie sił do pracy, spodziewam się znaleźć najmilszy przytułek.

Usłuchał dobréj rady Stanisław, i żegnając rodzinne strony, udał się z panem Alexandrem do Warszawy.

Podróż przeszła im prędko i wesoło. Pan Alexander był człowiekiem obdarzonym wielą wiadomościami, bo chwile wolne od pracy poświęcał czytywaniu pożytecznych książek; z nich znał dobrze dawne czasy, rozumiał teraźniejsze, i widział, że tylko praca uczciwa, przy błogosławieństwie Boskiem, prowadzi do pomyślności.

W początku po przyjeździe do Warszawy, umieszczony został Stanisław jako czeladnik w warsztacie za płacę skromną, lecz dostateczną do wyżywienia się z rodziną. Następnie w parę lat powierzył mu pan Alexander w zarząd, kupiony przez siebie dom na ulicy Długiéj, i za to dał mu bezpłatnie kilka pokoi na mieszkanie, warsztat i sklep, a przez to sposobność do powolnego dorabiania się majątku.

Po kilkunastu latach pracy i oszczędności, nasz, niegdyś biedny małego miasteczka rzemieślnik, trzymał po dwudziestu czeladników, założył piękny sklep, słowem doszedł do znacznego majątku.

Razu jednego pod wieczór sprzedając robotę wraz z żoną w swoim magazynie, ujrzeli zbliżającego się ku nim wynędzniałego, w średnim wieku mężczyznę. Pani Stanisławowa sądząc z wychudłéj powierzchowności, jak niemniéj z podartéj odzieży nadchodzącego człowieka, że chodzi po proszonym chlebie, sięgnęła już ręką po jałmużnę; lecz jakże wielkie musiało być jéj zdziwienie, gdy w tym nieszczęśliwym, mąż jéj poznał dawnego towarzysza — Bartłomieja?

Pierwszém prawie słowem tego ostatniego, po nieśmiałym ukłonie, a czułem uściśnieniu Stanisława, było: „Oj prawdę mówiliście, panie Stanisławie, że ta przeklęta wódka, przy nierzetelności i lenistwie do największéj doprowadzi nędzy. Tak było i ze mną. Straciłem wiarę u ludzi, roboty było coraz mniéj; biedna moja żona zachorowała i umarła, biedactwo. w szpitalu; a dzieci, biedne sieroty, popadały jedne za drugiemi jak muchy. Lecz wszystkie te nieszczęścia byłyby znośniejsze, gdyby nie sumienie, ten robak, wiecznie gryzący. Chciałem go zalać wódką, i ta zgubiła mię do reszty. Dziś, o mój Boże! z trzęsącemi się rękoma, z ogłupiałą głową, niezdolny do żadnéj pracy, wałęsam się gorzéj ostatniego żebraka, — gorzéj kaleki nawet; bo tego w ręku lub nodze, a mnie na ciele, w duszy i sumieniu jak boli, tak boli bez końca.

Rozczulony tym smutnym widokiem Stanisław, udzielił dawnemu koledze łaskawego przytułku. Lecz i to nie pomogło, bo lubo oboje z żoną koili jak mogli jego cierpienia, sumienie jednak, to najgorętsze zarzewie w duszy człowieka, przepalało mu coraz bardziéj serce, aż nareszcie schnąc i żółknąc stopniowo nieszczęśliwy Bartłomiéj, w rocznicę śmierci żony i dwojga młodszych dzieci, doszedł zupełnéj niemocy, i zakończył gorzki swój żywot, wśród łez i cierpień, w obcym domu, u cudzych choć litościwych ludzi, nie mając nawet téj pociechy, aby mu ktoś z rodziny powieki mógł zamknąć

———

O mrówkach, ich wojnach i zabawach.

—

Zastanawiając się z uwagą nad sposobem życia i zadziwiającą zmyślnością mrówek, przychodzi nam uwielbiać wszechmocność i mądrość Boga, nietylko w stworzeniu zdumiewających nas ogromem zwierząt, ale i najmniéjszych istotek; bliższe zaś poznanie korzyści i pewne przymioty mrówek postawić mogą nieco wyżéj w oczach naszych ten tak pospolity owad.

Mrówki, żyjąc w wielkich towarzystwach, składają, jakby naród, rządzony pewnemi prawami; budują one sztuczne mieszkania, zwane mrowiskami, jużto w ziemi, już też w wypruchniałych drzewach. W mrowisku trojakie znajdujemy mrówki, to jest: *samce*, *samice* i *bezpłciowe*, ostatnie nie mają nigdy skrzydeł, samce zaś i samice przez krótki czas opatrzone są cienkiemi skrzydełkami, które im wkrótce odpadają: Samice i bezpłciowe mają żądła, albo brodawki, z których się sączy ostra, kwaskowata ciecz, zwana *kwasem mrówczanym*.

Mrówki u nas znane, są dwojakiego koloru: *brunatno-czerwone*, inaczéj zwane borowemi, które zazwyczaj po lasach przebywają,— i jasno *czerwone*, które najwięcéj po polach żyją, i są mniejsze o połowę od pierwszych.

Mrówiska zakładane w ziemi składają się z sosnowych igieł, z drobnych drzazeg, włókien, odłamków kory, okruszyn żywicy sosnowej, ziemi i t. p. Budowa ich napozór tak prosto prowadzona, godną będzie podziwienia, jeżeli się bliżéj tym niekształtnym na oko kopcom przypatrzymy, ujrzymy, jak w nich wszystko odpowiada celowi; zobaczymy tam tysiączne bramy, strzeżone we dnie, a na noc zamykane; liczne kurytarze prowadzą tam do nierównie liczniejszych, większych i mniejszych komórek, które się mieszczą na wielu piętrach zbudowanych już to nad ziemią, już też w jéj głębi; a prócz tego ujrzymy tam jeszcze mnóstwo krętych ścieszek, schodów, podpór i t. p. Kopce te tak szczególnie są zbudowane, iż największy deszcz nie przesiąknie w ich wnętrze.

Lecz jeżeli godną jest podziwu zmyślność i pracowitość mrówek w budowaniu mieszkań swoich, niemniéj uderzającą jest ich troskliwość w wychowaniu potomstwa. Po złożeniu jajek, gdy gąsienice (czyli liszki) z nich wyjdą, zatrudniają się one starannie ich wyżywieniem i troskliwie pielęgnują, przemienione późniéj w poczwarki, które we dnie wynoszą często na słońce lub w cień, a wieczorem znowu do mrowisk znoszą. Dosyć jest, dla przekonania się o téj troskliwości, rozrzucić jakie mrowisko, a spostrzeżemy, jak tysiące mrówek skrzętnie się uwija,—rozrzucone poczwarki troskliwie znosi, i w mrowisku przechowuje, a zapewne żadna obcéj nie zabierze. Poczwarki te białawe, kształtu małego ziarnka ryżu, niewłaściwie są nazywane *jajami mrówczemi*, bo jajka mrówek są drobne, zaledwie ziarna piasku dochodzące. Z poczwarek dopiero wychodzą mrówki.

Mrówki należą do owadów użytecznych. Z ich kwasu, robi się *spirytus mrówczany*, lub też przyrządza się ocet; poczwarki mrówek (mrówcze jajka) są ulubionym pokarmem słowików; prócz tego w ich mrowiskach znajdujemy *mirrę krajową*, któréj się używa do kadzenia, a którą w święto Trzech-Króli lud nasz przynosi do święcenia, na pamiatkę ofiarowanéj niegdyś mirry nowonarodzonemu Zbawicielowi naszemu. Mirra nasza składa się z okruszyn sosnowéj żywicy, która przesiąkłszy kwasem mrówczanym, w zapaleniu dość przyjemny i zdrowy zapach wydaje.—Po wsiach używają także mrówek do wytępienia liszek, objadających kapustę, a to rozsypując po zagonach zebrane z pól lub lasów mrowiska.

W bardzo ciepłych krajach żyje mrówka wędrowna, która i do cala długości dochodzi. Robi ona mrowiska do 4ch łokci głębokie, i wyściela liściem. Dla zebrania zaś liści udają się te mrówki gromadnie do lasów i tam jedne włażą na drzewo i obgryzają liście, drugie zostają pod drzewem i przecinają na drobniejsze części spadłe z drzewa listki; nareszcie i tamte z drzewa spadają, i wspólnie zanoszą do mrowisk zebrane zapasy. W czasie długotrwałych deszczów, gdy im braknie pokarmu, wędrują one w odległe strony, i wciskają się do wszystkich zakątków mieszkań ludzkich. Mieszkańcy chętnie ustępują tym przyjaznym gościom swoich domów, i pozostawiają je otworem, bo w krótkim czasie oczyszczają im mieszkania z myszy, szczurów, i innych owadów, które się tam zagnieździły. — Wędrówki te odbywają nawet przez małe strumyki, a do przebycia ich szczególny most przyrządzają. Jedna z silniejszych mrówek siada na kawałku kory przy brzegu, podczas gdy druga mrówka jéj się czepia, téj znowu inna i t. d. Po-

tem pierwsza siedząc na łódce, robi nogami jak wiosłami, i płynie ku drugiemu brzegowi; gdy tym sposobem most mrówczany przeciągnie, wtedy wszystkie mrówki, przechodząc po towarzyszkach, jakby po pontonach, przeprawiają się na drugą stronę.

Mrówki wędrowne napadają i w polach na myszy i szczury, nasze zaś objadają je, jak jaszczurki, tylko gdy je napotkają nieżywemi, a chrabąszcze i bąki-końskie są największemi zwierzętami, na które się odważają.

Utrzymują, iż owad ten stosunkowo jest najmocniejszy ze wszystkich, albowiem odrobinę, choćby ołowiu, tak wielką jak sama mrówka, unieść jest w stanie, a czego żadne stworzenie stosunkowo do swéj wielkości nie dokaże; niemniéj przypuszczają, iż mrówka zebranym w lecie zapasem, w zimie się żywi; lecz gdy wiadomo jest, iz ona w zimie żyje w odrętwieniu, tedy sądzićby należało, że i mrówka podobnie jak i inne odtrętwiałe w zimie zwierzęta, nie potrzebuje w tym czasie pokarmu.

Jakkolwiek pomiędzy mrówkami nic, prócz miłości, zgody i równości dostrzegać się nie daje; jednakowoż wytępiają się one pomiędzy sobą, gdy się zanadto rozmnożą; ale nie zdradziecko i nie chytrością, albo podejściem to czynią, jak wiele innych owadów, tylko spotykają się z sobą w otwartem polu, jak dwa regularne wojska. Ich bronie stanowią: małe żądła, pyszczki i kwas ostry, który lekkie zaczerwienienie na ciele człowieka sprawia. Do wojny są jednak tylko zdatne robocze mrówki; inne uciekają, gdy im się pora wydarza.

Bezżądłe, to jest samce ukąsiwszy drugie szybko się tyłem obracają, aby w rany swój kwas ostry zapuścić; jeżeli zaś nieprzyjaciel jest oddalony, to stawiają się w szyki, przechylają brzuchy pomiędzy nogi, i pryskają kwasem, jak tylko zasięgnąć mogą; często też widzieć można, jak z powierzchni ich kopca deszcz mrówczanego kwasu w górę pryska, wydając woń podobną spalonéj siarce.— Nad wszystkich nieprzyjaciół lękają się najbardziéj innych mrówek, nie wyłączając i najmniejszych, bo tych zaraz mnóstwo się do nóg największych czepia, w koło niemi kręci, i do ucieczki przeszkadza. Podczas walki zdumiewać się przychodzi nad ich odwagą, bo rozjątrzywszy się w boju, dozwolą sobie raczej nogi oberwać, niż się poddać, często też oderwane głowy, albo całe nieżywe mrówki u nóg uchodzących wiszą.

Między równéj wielkości mrówkami, żądłowe, to jest samice i bezpłciowe są najgroźniejsze.

Większe napadają na mniejsze nieubłaganie: ujmują je wpół i duszą pyszczkiem; ale jeżeli się wprzód małe spostrzegą, wtedy massami przyprowadzają sobie inne na pomoc.

Brunatno czerwone t. j. większe wyszedłszy z swego mrowiska, podchodzą aż do bram jasnoczerwonych, które choć o połowę od nich mniejsze, ale też są daleko liczniejsze, i także się odważnie bronią; jednakże po większéj części pobite bywają, i wtedy często o 50 stóp od mieszkania swego się oddalają, zabierając z sobą wszystko, co tylko im może być przydatném. Po drodze rozstawiają małe oddziały na straży, które zbliżającą się wielką mrówkę zaraz aresztują; jedna wskakuje jéj na kark, okręca się około głowy i zlewa ją kwasem, przytem mocują się z sobą; inne, przybywszy jéj na pomoc, zagryzają ją lub biorą w niewolę.

Jeśli kto chce widzieć regularne ich wojny, niechaj się uda do lasu, gdzie brunatno czerwone mrówki swoje panowanie nad wszystkiemi mimo przechodzącemi owadami rozpościerają, i z podobnemi sobie z różnych mrowisk, wojny toczą, jakto w dawnych czasach sąsiednie miasta czyniły.

Nieraz z dwóch kopców, które przeszło o 100 kroków oddalone od siebie leżą, posuwają się przeciw sobie wojska tak liczne, że całą drogę na 2 stopy szeroko pokrywają, i w połowie drogi z sobą walczą. Tysiące idzie w zapasy pojedynczo, i każda stara się drugą pyszczkiem zawlec w niewolę.

Właściwe pole bitwy ma 3 stopy w kwadrat (to jest wszerz i wzdłuż), i wonieje mocno kwasem mrówczanym; wokoło leżą trupy pokryte tą cieczą, podczas, gdy całe oddziały, lub pojedyncze mrówki trzymają się za nogi i głowy a tu i owdzie rozciągają się martwe. Walka rozpoczyna się zazwyczaj między dwiema mrówkami idącemi z otwartemi pyszczkami; te stawając przeciw sobie, pryskają na siebie swój kwas ostry naprzemiany, potem przypadają do siebie z boku i pasują się z sobą dopóty w kurzu, dopóki 3cia nie nadejdzie i zwycięztwa nie rozstrzygnie; czasami też przybiega ich tam mnóstwo, i przyczepia się nogami do nieprzyjaciela

tak, że często 6 do 10 trzyma się jednéj mrówki. Pod noc odciągają oba wojska zawsze do swoich siedzib, pozostawiając tylko trupów, jeńców zaś zabierając z sobą. Ale przed wschodem słońca występują nanowo i to jeszcze zawzięciéj przeciwko sobie, a pole bitwy staje się do 6 stóp długie i szerokie; około południa zwyciężająca strona może już pole bitwy o 10 stóp ku nieprzyjacielskiemu kopcowi posunąć. Żądza boju tak jest gwałtowną, że choćby im kto przeszkadzał to go nie oblezą. Najdziwaczniejszem jest to, że mrówki się poznają nawzajem, i umieją przyjaciół od nieprzyjaciół odróżnić; idą one wprawdzie z otwartemi pyszczkami, i napadają na siebie nieraz, ale zaraz puszczają się i głaszczą *mackami* (to jest wąsikami czułemi, służącemi im zamiast wzroku), jeżeli do jednego mrowiska należą. Podczas walki jednak wszystkie zatrudnienia w kopcu idą swoją drogą, i zawsze jedne ciągną jeńców do domu, podczas, gdy inne są w boju, a znowu inne w las idą, aby pożywienia dostarczyć. Jeżeli deszcz spadnie, to wojska powracają do siebie, a następnie unikają sąsiedztwa z drugim kopcem.

Inaczéj przedstawiają się wojny brunatnoczerwonych z jasnoczerwonemi. Te oczekują tamtych w małych oddziałach, w pobliżu swego kopca, pomykają się potem w mocno ścieśnionych szeregach, nie rozłączając się jedna od drugiéj na chwilę, i biorą każdego pojedynczego nieprzyjaciela, gdy się zdaleka od swoich wysunie. Ta wojna jest bardzo zabawna. Obie strony usadawiają się w zasadzkach, i starają się podejść znienacka; lecz jeżeli czerwonobrunatne idą wstępnym bojem, wtedy zagrożone małe mrówki, zaraz proszą domowych na pomoc i w okamgnieniu liczne wojsko wypada z bramy, aby pojedyncze hufce nieprzyjaciela otoczyć. Potyczki te, wznawiając się codzień, trwają i cały tydzień między dwoma dość odległemi kopcami, a to najczęściéj, jeżeli na jednym nasypie lub wale ziemi, leżą, lub ich drogi krzyżują się z sobą.

Zdaje się, że brunatnoczerwone umieją się także bawić. Podczas dnia pogodnego zdarza się nieraz widzieć tłumy mrówek ogólnie poruszających się na kopcu, na podobieństwo wrzącéj wody; każda trzepie mackami z zadziwiającą szybkością, to głaszczą łagodnie inne po głowie przedniemi nóżkami, to ustawiają się potem parami, pasują się z sobą, przewracają i t. p.; potem obejmują się swym widełkowatym pyszczkiem to za szyję, to z tyłu. nie pryskając jednak swym kwasem, i nic złego sobie nie wyrządzając, następnie puszczają się, dopadają drugich; aby się z niemi pasować i t. d.

U innych nie daje się spostrzegać tych wojowniczych zabaw. Widać to wybornie na takich kopcach, które dogodne położenia mają, i znajdują się w bliskości pożywienia lub wody, i gdy są nieco nasypem ziemi od nieprzyjaznych odwiedzin zabezpieczone.

Czasami widać na kopcu mrówki, które się kręcą wkoło przez 2 lub 3 minuty, jakoby zawrot miały; potem pędzą do drugich, chwytają je za nogi lub za macki, i puszczają się, aby biedz do innych. Bawią się także z sobą jak psy, już to czając się, już wykręcając się, aby się nie dać złapać, lub też udając, jakby się chciały kąsać, przewrócić i t. p.—Nieraz też podpadają szczególnéj chorobie: nie mogą prosto chodzić, ale biegają ciągle w kółko, wielkości cala w przecięciu, i krążą w niem po jakie 100 razy na godzinę i to przez 7 dni, dniem i nocą czynią. Czasami przyjmują nieco miodu, gdy go im kto porzuci, ale zaraz uchodzą. To jednak spotyka tylko pojedyncze mrówki; innych słabości u nich nie zauważano.

To bliższe obznajmienie się z tem zmyślnem stworzeniem, niechaj posłuży dla wielu za skazówkę, iż człowiek, jeżeli rozum swój odłogiem zostawi, a powinności swoich święcie i z chęcią nie wypełnia, — mało-co wyżéj stoi nad najmniejsze stworzenia,— mrówki naprzykład,— które bez przymusu i żadnego dozoru, oddają się ciągłéj pracowitości, tak przy sztucznéj budowie swych mieszkań, jako też troskliwości około wyżywienia siebie i swego potomstwa.

Przypowieści.

5. Potwarz jaśnie fałszywa
Wierzoną nie bywa.
6. Słówko raz wyrzeczone — nigdy nie przywrócone.
7. Nie patrz na postawę,
Ale na człowieka sprawę.

W drukarni J. Unger.—Wolno drukować. Warszawa d. 30 sierpnia (11 Września) 1856 r. — Starszy cenzor, *F. Sobieszczański*.